BEZPŁATNY DODATEK.

RODZINA

PISMO
POŚWIĘCONE WYCHOWANIU
I NAUCE DOMOWEJ.

Numer 6. Niedziela, dnia 16-go marca Rok 1913

Walerya Marrené (Morzkowska)

SMUTNA SWADŹBA.

(Dokończenie)

Podniosła głowę; — to był Franek, i spoglądał na nią tak smutno, a tak przyjaźnie, jakby rozumiał najlepiej to wszystko, co się działo w jej sercu, a czego ona nikomu, nawet samej sobie nie powiedziała.

— Salko, — wyrzekł — stoję tu chwilkę i patrzę na ciebie, a ty jesteś niby nieżywa.

Nie odpowiedziała nic, podniosła kijankę i chciała dalej ciągnąć przerwaną robotę; ale, nie wiedzieć czemu, na płacz jej się zbierało.

— Oj, zmieniłaś się ty bardzo, Salko! — mówił Franek.

— Ha, zmieniłam się, to i co? — zagadnęła — widać taka wola Boska.

— Nie wola to Boska, jeno ludzka, nie od dziś ja na ciebie patrzę... Patrzałem, kiedyś jeszcze była maluśka, a taka śliczna zawsze; patrzałem potem, kiedym myślał, że co z tego będzie...

Przerwał sam sobie, jakby lękał się mówić dalej; nie spostrzegł jednak w twarzy dziewczyny ani gniewu, ani niechęci.

— Salko! — szepnął — chciałbym ci ja coś powiedzieć, tylko może się obrazisz.

— To nie mówcie — odparła z odcieniem dumy.

Franek westchnął po cichu.

— Nie to, oj nie to, czego się boisz; — szepnął ciszej — zmieniłaś się bardzo, Salko; z najweselszej dziewczyny we wsi stałaś się najsmutniejszą; ale czy wesoła, czy smutna, ty nie myślisz o mnie.

Była chwila ciszy.

— Widać Bóg nas sobie nie przeznaczył, — dodał, oczekując daremnie słówka z jej strony.

— Widać, — powtórzyła Salka, która, bez żadnego szemrania, zgadzała się w tym razie z najwyższą wolą.

— Nie o sobie chciałem z tobą mówić — wyrzekł znowu.

Rzuciła przelotne spojrzenie, w którem zdawało mu się, że odnajdywał na krótki moment dawną Salkę.

— A o kimże? — spytała cicho.

Franek popatrzył na nią, brwi mu się zbiegły. Trwało to jednak zaledwie mgnienie oka; przemówił znowu łagodnym głosem.

— Czy ty myślisz Salko, że ja nie wiem, czemuś ty smutna?

Spuściła oczy, i na twarz jej wystąpiły na chwilę dawne kolory.

— Zrozumiałem-ci ja dawno, dla czegoś mnie nie chciała. Z początku miałem głupią radość, gdym widział, żeś nie tą, co dawniej. Wszak ludzie powiadają: co z oczu to i z serca; ot myślałem sobie, że i z tobą tak będzie, że może...

— To minęło już — dodał po chwili — widzę, że to wszystko na darmo; a teraz mi tylko okrutnie żal twojej młodości, twojej urody, twojego wesela dawnego, choć wiem dobrze, że to wszystko nie dla mnie.

Mówił to z przerwami, jakby trudno mu było powiedzieć, co czuł. A kiedy go słuchała, łzy zamigotały w oczach Salki, i, jak dwa sznurki pereł, puściły się po twarzy.

— Nie płacz tak, nie płacz! — wyrzekł pośpiesznie — ja postanowiłem już, co zrobię: pójdę do Tomka i przyprowadzę go do wsi napowrót.

Łzy zatrzymały się na licach dziewczyny.

— Wy, Franku! — zawołała głosem pełnym zachwytu i nadziei, — wybyście to zrobili!

Jakiś nieokreślony uśmiech ukazał się na ustach biednego Franka.

Chciał może zapytać: czy podziękuje mu za to? czy będzie miała dla niego dobre słowo i uśmiech przyjazny?.... przecież pytania te byłyby próżne.

Odpowiedziałaby mu *tak* z pewnością, a przecież czuł, iż słowo to byłoby mu nie wystarczyło, i nie mogłoby zmienić ich wzajemnego położenia. W szczęściu, jak i w smutku, był dla niej niczem zupełnie.

Więc wyrzekł tylko:

— Bądź spokojna, zrobię to.

— Wy wiecie, gdzie on jest? — zawołała dziewczyna, z bijącem sercem.

— Czy wiem, czy nie wiem, dość, że go tu sprowadzę.

Ale ona nie mogła na tem poprzestać; zbyt dawno nie słyszała jego imienia, nie mówiła o nim z nikim na świecie.

— Franku, mój złoty Franku! — szepnęła, nie bacząc wcale, czy raniła go słowami swemi — powiedźcie mi, co wiecie.

Założyła ręce na jego ramieniu, patrzyła mu w oczy jasnemi źrenicami, jakby chciała wyczytać w nich odpowiedź, jeśli jej usta odmawiały.

Odtrącił ją lekko, łagodnie, ale stanowczo.

— Nie wiem nic, — odparł głucho.

Ruchliwa twarz Salki zasępiła się pod wrażeniem tego słowa.

— A kiedy go szukać będziecie?

I znowu miał jakiś uśmiech, dziwnie przymuszony i blady, jakby chciał jej wymówić, że okazywała się dla niego tak bardzo okrutną.

I znowu ona nie miała czasu o tem pomyśleć i powtarzała niecierpliwie.

— Franku! kiedy go szukać pójdziecie?

— Zaraz — szepnął, nie namyślając się długo, gnany jej wzrokiem i słowem.

Wziął kij, leżący na ziemi, i odszedł szybko, o ile mu na to lekkie kalectwo pozwalało. Nie obejrzał się ani razu na Salkę; może pomimo to, co obiecał uczynić, miał żal do niej, a może nie chciał jej pokazać zmienionej twarzy.

Stała nad wodą, prowadząc go oczyma. Wstąpiło w nią nowe życie, patrzyła przed siebie zadumana i uśmiechniona lekko, — jakby wierząc, iż złe chwile minęły na zawsze, nie mogła jeszcze odnaleźć dawnego wesela.

Nie podejrzewała szczerości obietnicy Franka; czuła dobrze, że jej dotrzyma. Zresztą nie pytała się, co dalej będzie? co powie ojciec, rodzina? Myślała o tem tylko, że go zobaczy, że może znów, jak dawniej, schodzić się będą w kościele, u roboty, i w czasie tych wszystkich okoliczności, co-to jednoczą koniecznie mieszkańców jednejże wioski.

Powróciła do chaty rozmarzona. W chacie od jakiegoś czasu, wszyscy byli nieswoi. Stary Lenart stawał się coraz gniewliwszym i przykrzejszym; nikt mu nie umiał dogodzić. Może go w sumieniu co trapiło? może czuł, że nie dobrze postąpił?

Przysiewek Tomka kazał złożyć osobno na klepisku w stodole, i jałoszkę jego chował jakby własną; a kiedy sąsiad chciał ją kupić, oburknął się, że to nie jego. Czarne woły i cały dobytek nie wyglądały wcale tak dobrze, jak przy Tomku. Wicek biadał, że się z niczem na nowego parobka spuścić nie można, a Wickowa, że jej tak, jak to bywało, Tomek wody nie przynosił, i wzdrygał się drew narąbać.

Słowem, jeśli imię nieobecnego nie było na ustach, to tkwiło z pewnością w myśli całej rodziny.

Tak, raz po obiedzie w niedzielę, siedzieli wszyscy na podwórku, patrząc na drogę, którą przechodzili ludzie, i wózek jaki przejezdny zadudnił czasem. Salka, jak zwykle, była zadumaną; myślała sobie, że to już blizko tydzień upłynął od czasu, jak Franek przyrzekł zbiega odszukać, a dotąd nie słyszała o nim ani słowa.

Nagle zdało jej się, że widzi niepewny chód z daleka kulawego Franka, a za nim jakąś ociągającą się postać. Serce jej uderzyło gwałtownie; zerwała się, wykrzyknęła niebacznie imię, które od tak dawna miała na ustach; i — przerażona brzmieniem własnego głosu, umilkła nagle, załamując ręce.

Na jej okrzyk powstali wszyscy ciekawi, spojrzeli na drogę, ale ujrzeli już tylko samego Franka; bo towarzysz jego skrył się za pień drzewa, z po-za którego wyglądały tylko bujne kędziory czarnych włosów.

Stary Lenart podszedł do Franka.

— Cóż to? — zapytał niespokojnie — kogóż nam tam prowadzisz?

A Franek upadł mu do nóg.

— A dyć to Tomek — szepnął — nie puszczajcie go więcej.

— Oj! — mruknął Lenart — toż ty go na swoję biedę prowadzisz?

W głosie jego nie było takiego gniewu, jak się Franek spodziewał; podniósł oczy z większą otuchą, bo w tej chwili sprawa, której się podjął, leżała mu na sercu, jakby jego własną.

— Co tam ja! — szepnął, nie domyślając się bynajmniej wartości słów własnych, — on mi nic nie krzyw, ani Salka, jedno już taka moja dola. Rochu, Rochu! spójrzcie-no na Salkę, to was serce zaboli nad dzieckiem własnem. A Tomek, czy myślicie, że z nim co innego?

Robił znaki Tomkowi, ażeby on także padł do nóg Lenarta; ale Tomek stał zawstydzony, blady, nie ruszając się z miejsca.

Stary gospodarz stał przez chwilę, wahający się, niepewny, patrząc naprzemian na wszystkich uczestników tej sceny. Na czole wzbierał mu koleją gniew, koleją brały górę miększe uczucia. Siwe brwi jeżyły się i ściągały, aż wreszcie zawołał:

— Oj! ty wartogłowie, Tomku! a gdzieżeś się ty chował, żeś ani po przysiewek, ani po zapłatę nie przyszedł? No dobrze, coś się zjawił przynajmniej; porachujemy się z sobą, a kto wie, może pogodzimy się jeszcze. Salka się o to nie pogniewa.

Na te ojcowskie słowa, Tomek przypadł mu do nóg i całował je ze łzami, których się nie wstydził; a tuż przy nim klęczała Salka; i stary Lenart, rad nie rad, musiał ich razem podnieść i pobłogosławić, niemal w obliczu wsi całej.

A kiedy to uczynił, była w chacie radość wielka, a wśród tej radości, nikt nie miał czasu uważać, że blada, posępna postać Franka oddalała się wolno od tego ogniska... Przyniósł mu szczęście, a podzielić go nie mógł.

SAD GETSEMANII...

Sad Getsemanii w mroku tonie,
Oliwne drzewa szemrzą z cicha...
Twarz Chrystusowa ogniem płonie,
Pierś umęczeniem ciężkiem wzdycha
I płynie prośba w niebios ciemnie:
„Ten kielich, Ojcze, weź odemnie!"

Sam w nocnej porze Jezus czuwa:
Posnęli uczniowie — śpią bezpiecznie.....
Chwila za chwilą się przesuwa,
Zda się, że Męka trwa już wiecznie.
Pot krwawy spływa — słychać łkanie:
„Ojcze! Twa wola niech się stanie..."

Północ się zbliża w Getsemanii.
Śpią ucznie. Cisza. Wiatr szeleści
Wśród drzew oliwnych w rytm litanii
I niesie szczęk, co napad wieści.
Budzi ich Pan dotknięciem ręki:
„Przyszła godzina Mojej Męki".

Poszedł naprzeciw tej godziny....
Judasz na usta kładzie usta,
Jakby do Mistrza szedł bez winy,
A pierś nie była sercem pusta —
Wydał Go. Wiążą zbójcy wściekli.
Uczniowie, widząc to, uciekli.

Szczęk broni w dali cichnie, ginie,
Pot krwawy w ziemię wsiąka skrycie,
Wiatr echem gwaru jak szmer płynie,
Ptak śpi — zamarło wszelkie życie,
Lśni tylko niebo w gwiazd koronie...
Sad Getsemanii w mroku tonie.

DOM I SZKOŁA.

Początek nauki, stanowiący w życiu dziecka tak ważną zmianę i przewrót głęboko poruszający całą jego istotę, stanowi też dla dziecka nieraz wielką przykrość, będącą początkiem wielu innych przykrości i kłopotów.

Troskliwość rodziców powinna to zawczasu przewidzieć i obmyśleć sposób przygotowania dziecka do szkolnej nauki. Przygotowanie to nie polega, jak niektórzy rodzice sądzą, na pewnej znajomości liter, na umiejętności pisania, gdyż w szkole nie domagają się tego nauczyciele. Jeżeli jednak dziecko żywe i pragnące zajęcia samo do nauki się garnie i z łatwością przyswaja sobie litery, wtedy i matce przyjemnością będzie udzielać mu początków nauki, która mu zarazem będzie zabawą. — Słodkie i cenne to chwile dla matki i dziecka zarazem, gdy nauka matki budzi w jego umyśle pierwsze błyski oświaty, pierwiastki pojęć naukowych, na których szkoła budować będzie gmach wiedzy i myśli, jaki każdy z nas posiąść musi w życiu.

Poznanie pojedyńczych liter, rozróżnianie liczb i łatwe działania rachunkowe z pomocą orzechów, guzików, grochu itp. bardzo dobrze przyspasabiają dziecko do ścisłego myślenia, do spokojnej i skupionej pracy i żadna matka nie powinna takich ćwiczeń zaniedbywać. Oczywiście powinny one dziecko bawić, a nie męczyć, być mu zabawą, a nie przykrym przymusem.

Często matki skarżą się na żywość i hałaśliwość małych dzieci, która pochodzi jedynie z braku zajęcia. Im więcej dziecko małe bywa zatrudnione, tym mniej uczuwa ochoty do głośnej zabawy, tym łatwiej przywyknie później do spokojnej pracy.

Matka Polka przedewszystkiem zważyć powinna wielką trudność czekającą dziecko w szkole t. j. trudność obcej mowy, w której teraz dziecko ma myśleć i przyswajać sobie obce pojęcia. Ta trudność ciężkiem nieraz brzemieniem przygniata umysł dziecka, uniemożliwia mu dobre postępy pomimo dobrego uzdolnienia i pilności. Rodzice przeto z całą troskliwością starać się powinni, aby dzieciom przetłómaczyć na język ojczysty niemieckie wyrazy i zdania niezrozumiałe, aby nie powtarzały jak papugi mechanicznie, co im nauczyciel powie.

Przyznaję, że trudno wymagać od rodziców ciężko pracujących, aby umysł swój wysilali nad nauką dziecka i naginali do wymagań szkolnych — ale czyż cały nasz byt nie jest pełen trudności. Czyż nie potrzeba dzieciom naszym zawczasu do nich nawyknąć?

Dziecko polskie w szkole pełni dwojaką pracę, pracując i myśląc dwoma językami — tak samo i w dalszem życiu Polak obywatel żyje niejako życiem podwójnem: życiem zawodowem i życiem obywatelsko-narodowem. **M. G.**

PALENIE TYTUNIU.

Nałóg palenia jest niemniej szkodliwy od nałogu używania trunków, a zwalczanym musi być tem energiczniej, że wśród młodzieży jest u najwięcej rozpowszechniony, niż używanie alkoholu. Pierwszych prób palenia młodzież dokonywa z chęci naśladowania starszych i pod wpływem zachęt innych palących. W początkach palenia występuje ból i zawroty głowy, ślinotok i wymioty, następnie jednak organizm przyzwyczaja się do trucizny, jaka jest nikotyna w tytoniu, i w ten sposób powstaje nałóg.

Szkodliwy wpływ palenia tytuniu na charakter i rozwój duchowy młodego organizmu jest znacznie silniejszy, niż na organizm dorosłych.

Szkodliwy wpływ palenia tytoniu na zdrowie fizyczne występuje bądź w krótkim czasie po zaczęciu palenia, bądź dopiero po latach. Naówczas pozbycie się nałogu często jest już spóźnione, i choroba, wywołana przez palenie tytoniu, postępuje dalej.

Nadmierne i umiarkowane palenie — są to rzeczy względne; co dla jednego jest niewiele, to dla drugiego może być bardzo dużo. Zresztą tak samo nierównomiernie działają na różne organizmy i inne trucizny, jak alkohol i morfina.

Najwcześniej występują u palaczy następujące objawy:

a) Katar przewlekły nosa i gardzieli, który często przechodzi na krtań i oskrzele, powodując chrzakanie, suchość w gardzieli, chrypkę i kaszel, z początku przejściowy, a później — skutkiem przewlekłego kataru oskrzeli — kaszel stały. Przewlekły katar oskrzeli przygotowuje podłoże do rozwoju różnych chorób płucnych, a nawet gruźlicy — suchot. Pod wpywem przewlekłego kataru gardzieli powstać mogą cierpienia ucha, prowadzące niekiedy nawet do głuchoty.

b) Bardzo często występują zaburzenia żołądkowe (odbijanie, brak apetytu, złe trawienie), a również niepokój i bicie serca, połączone czasami z omdleniem.

c) Często rozwija się przewlekłe zapalenie oczu, a niekiedy nawet zapalenie nerwów ocznych, mogące doprowadzić do ślepoty.

Chroniczne zatrucie tytuniem prowadzi do częstych chorób serca i naczyń krwionośnych oraz chorob nerwowych. Wielu ludzi pali i niektórzy dożywają późnego wieku, ale wielu umiera od powyższych chorób i ich powikłań; w każdym bądź razie chroniczne zatrucie tytuniem jest zawsze szkodliwe im wcześniej tytuń zaczął działać na niedojrzały i rozwijający się organizm.

Nie należy zaczynać palić, a kto zaczął, niech się odzwyczai, dopóki tytuń nie wywołał w organizmie jego takich zmian, które nie dadzą się już naprawić.

PRAGNĘ.

Ludu mój! ludu! Ja pragnę dla ciebie
Nie tego szczęścia, co trwa tylko chwilę,
Po którem bólu i goryczy tyle,
Ja pragnę szczęścia niezmiennego w niebie.

Pragnę, by próżne męki me nie były,
Abyś rozumiał przeznaczenie swoje,
By krwi płynącej za ciebie dziś zdroje
W sercu twem miłość cierpienia wyryły.

Pragnę, o pragnę! abyś szedł w milczeniu
I nie upadał, choć iść trudno będzie —
O! bo ten tylko niebiosa zdobędzie,
Kto siły szukać zechce w mem spojrzeniu.

Kto pójdzie cichy tą boleści drogą,
Bez skargi żalu w krzyż mój zapatrzony,
Tego zwątpienia dosięgnąć nie mogą,
Zaczerpnie męstwa w cierniach mej korony..

Pragnę, byś kiedyś w blaskach wiecznej chwały
Cieszył się razem połączony ze Mną,
I hymn mi szczęścia nucił nieprzebrzmiały,
Odziany w szatę jasności promienną.

DLA DOMU I GOSPODARSTWA.

— **Pieczenie placków i bab.** Dwojakim sposobem można przysposobić ciasto: albo rozcierając masło dodawać cukier i żółtka, potem drożdże, które się już w mleku rozpuściły, a nakoniec mąki tyle, ile potrzeba, aby ciasto było gęste, nie wylewało się z łyżki, lecz urywało, co jest znakiem, że gęstość jest odpowiednia.

Inny sposób polega na tem, że w mąkę ogrzaną na dużej misce wlewa się drożdże i przysypuje mąką, a po godzinie gdy drożdże przeniknęły w mąkę, dodawać masło i inne przyprawy, ciągle mieszając.

Skoro ciasto dobrze jest rozmieszane, należy je ubijać. Ubijanie ciasta jest bardzo ważne i konieczne, gdyż ono nadaje ciastu potrzebną lekkość i strawność. Do bicia ciasta potrzeba pewnej siły, dobrze gdy mąż lub syn dopomoże zmęczonej gospodyni. Przez ubijanie dostaje się do ciasta większa ilość powietrza, które ciasto rozpręża, to można poznać po dziurkach i pęcherzach, jakie tworzą się w ubijanem cieście. Te dziurki są właśnie znakiem, że ciasto jest dobre i można je kłaść we formy.

Formy czy blaszane czy gliniane powinny również być ogrzane i starannie wysmarowane, gdyż inaczej ciasto się przylepia i rozrywa. Formę do baby trzeba jeszcze wysypać w środku tartą bułką.

Nie podajemy przepisów na placki i baby, gdyż ilość masła itd. zależy od zamożności i uznania gospodyni. W dawniejszych książkach kucharskich polecano n. p. do jednej baby 30 żółtek i funt masła. Przy dzisiejszej drożyźnie byłoby to zbytkiem i lekkomyślnością, można i z małą ilością jaj i masła upiec dobry placek; byleby mąka i drożdże były w jaknajlepszym gatunku.

Na skromne wymagania można przyjąć następującą proporcyę: na trzy funty mąki funt masła, sześć jaj, funt cukru, nie cały litr mleka i za 20 fen. drożdży. Większa ilość drożdży wytwarza w cieście wiele dziurek i czyni je suchem.

Zaleca się wziąść raczej więcej masła, niż jaj, wtedy ciasto dłużej zachowuje wilgoć i dobry smak. Świeżych, ciepłych jeszcze placków i bab nie należy krajać, ani wyjmować z form.

— **Królik pieczony.** Królika obciągniętego ze skórki wiesza się na dwa dni w zimnem miejscu, by skruszał. Poczem należy go starannie wyżyłować, nasolić i na godzinę zostawić, by mięso dobrze solą przeszło. Następnie szpikuje się go słoninką, daje na blachę i piecze w rurze, polewając go masłem. Gdy już królik jest upieczony, kraje się go na kawałki i podaje do stołu. Można do królika podać sałatę z kapusty kwaszonej, albo fasolę na kwaśno.

— **Królik smażony.** Wyżyłowanego królika bajcuje się na noc, a bajc tak się przyrządza: Na dwie szklanki octu (powinien być prawdziwy winny) dać 1 szklankę gotowanej zimnej wody, pieprzu prostego kilkanaście ziarnek. dużą cebulę, pokrajaną w talarki, 1 listek bobkowy, kawałeczek marchwi, pietruszki i selera. Tę jarzynę drobno się kraje, miesza i wraz z octem polewa po mięsie. Następnego dnia mięso wyjmuje się z bajcu, obciera je czystą ściereczką, kraje na kawałki i soli. Jedno całe jajo i 2—3 łyżki mleka dobrze się razem na miseczce rozbija. Pokrajane mięso tarza się w mące, macza w rozbitem jaju, obsypuje tartą sianą bułką i kładzie je na rozpalony smalec. Smaży ostrożnie a gdy się mięso zrumieni z jednej strony przewraca się je i smaży a gdy i z drugiej strony rumiane, wyjmuje na misę i podaje z ziemniakami tłuczonemi lub z buraczkami.

— **Czarne paznogcie.** Hygiena zrobiła wielkie postępy. Niezawodnie! Mamy o niej dokładniejsze pojęcie. Pamiętamy pilniej o jej nakazach. Wskazówki hygieny stają się coraz bardziej potrzebą i nałogiem życia naszego. Znać to w kuchni i w sypialni. Wszystko czyściejsze — od jedzenia aż do powietrza.

A jednak! Jest jedna dziedzina, w której nie postąpiliśmy niemal wcale — brud za paznogciami! Siedziba najzawziętszych wrogów naszego zdrowia i życia.

Za paznogciami gromadzą się wszelakie trucizny, jaja pasorzytów przeróżnych, Bóg wie, ile zgubnych, wstrętnych mikrobów.

Gdy badacze wyliczać zaczną rodzaje bakteryi zgubnych, chorobotwórczych, hodowanych samochcący za paznogciami — mdło się robi. Najzuchwalszy lekkomyślnik musi zadrżeć ze strachu. Bez liku: stafolokoki, strepsokoki, bakterye żółte, serciny białe, jajka oxeuresów, jajka soliterów i t. d. A wszystko potęgi, groźniejsze nieraz od cholery i tyfusu.

Mówi się w powieściach z zachwytem o pięknych, wypieszczonych rączkach margrabin i księżniczek — dobrze! Ale ważniejsze dla zdrowia i szczęścia naszego mają znaczenie ręce kucharki.

Ileż to razy widzimy bolesną rozpacz matki po stracie dziecka. Przeklina lekarzy, bluźni Bogu, wyrzeka, iż nie ma sprawiedliwości na świecie, pyta w rozpaczy Niebios, co zawiniło niewiniątko, że je ukarano śmiercią, na co komu było potrzebne wydarcie jej pociechy i t. d.

A to ona sama winna, ona jedna — nie czyściła dziecku paznogci. Sama hodowała chorobę, bo zostawiła wroga, którego tak łatwo było usunąć i życie dziecka ocalić.

Więc... czyśćmy paznogcie. Nietylko czyśćmy sami, lecz pracujmy, aby wszyscy koło nas czynili to.